

1111

Biblioteka i Czytelnia
Z. Z. K. - Koło Toruń
Nr. inw. 5/15

lipa.
F. A. OSSENDOWSKI

~~Wydanie II~~

STAŚ EMIGRANT



KSIĄŻKI RÓŻOWE
I BŁĘKITNE

BIBLIOTEKA KSIĄŻEK BŁĘKITNYCH Nr. 144.

ZAKŁADY GRAFICZNE
„POLSKA ZJEDNOCZONA”
WARSZAWA
NOWOLIPIE 2, TEL. 11-02-96.

Biblioteka i Czytelnia
Z. Z. K. - Toruń
Nr. inw. 350

1548.519

Rozdział 1.

RODZINA BASIEWICZÓW.

Wszystko, co będzie opisane w tej powiastce, działo się przed 65 laty, a więc wtedy, gdy w Polsce rządzili brutalni, niesprawiedliwi rosyjscy urzędnicy.

Naród nasz cierpiał uciemiężenie, lecz od czasu do czasu zrywał się do walki.

Po powstaniach rozpoczynały się sądy nad Polakami.

Moskale rozstrzeliwali, wieszali lub posyłali do mroźnej Syberji na wygnanie wszystkich Polaków, którzy brali udział w walkach z zaborcami.

Jeden z takich zesłańców, Seweryn Basiewicz, jak i setki innych, zmarł na wygnaniu, a syn jego Mieczysław powrócił do rodzinnej zagrody pod Płockiem, lecz popasał tu niedługo.

Widać, w żyłach jego płynęła niepokorna krew powstańców, bo, widząc niesprawiedliwe postępowanie naczelnika powiatu, zadarł z nim tak ostro, że został oddany pod sąd i wkrótce śladami ojca powędrował na Sybir.

Młoda pani Wanda Basiewiczowa, zabrawszy ze sobą dwurocznego synka Stasia, poszła za mężem, aby dzielić jego los na wygnaniu.

Przez pierwsze dwa lata mieszkali nad brzegami wartkiej i bardzo szerokiej rzeki Leny, na zupełnem odludziu, pracując ciężko na małym kawałku roli, gdzie się rodziło żyto i trochę ziemniaków.

Tego pożywienia nie starczyłoby niezawodnie dla wygnańców polskich, lecz Mieczysław Basiewicz odznaczał się przedsiębiorczością, a i próżnować też nie lubił.

Rozejrzawszy się dobrze, wypalił sobie z grubej sosny zwrotne czółno i wraz ze swą żoną splótł długą, mocną sieć, „niewodem“ na Syberji zwaną.

Od tego czasu stał się rybakiem, a miał do tego zajęcia prawdziwy spryt i szczęście.

Nikt nie łapał więcej od niego ogromnych jesiotrów, łososi i innych smacznych, drogich ryb. Dawało mu to dobre zyski, więc już po roku wybudował malutką oborę i stajnię, bo właśnie nabył dla pani Wandy dwie krowy i byczka, a z lasu dochodziło go w lecie wesołe rzenie dwóch małych, kosmatych lecz silnych i śmigłych koników.

Wygnaniec zaczął dostarczać rybę i inne towary na sąsiednie kopalnie złota i do szklanej huty, stając się szybko dość zamożnym kupcem.

Gdy po paru latach uciułał sobie wcale spory kapitał, obliczywszy go, zamknął się z żoną w izbie i długo się z nią naradzał.

Staś, który miał już wtedy siódmy roczek, ujrzał rodziców, wychodzących razem, i ze zdziwieniem przyglądał im się.

Ojciec wydawał się bardzo wzruszony, mamusia płakała i przez łzy szepotała:

— Jeżeli Bóg nie opuści, to wszystko będzie pomyślnie...

Pewnego dnia ojciec zaprzął oba koniki do sanek, ułożył kilka worów z wędzonym mięsem, mrożonemi rybami i sucharami, przywiązał krowy i byczka z tyłu za sankami i, usadowiwszy wygodnie chłopaka z mamusią, wziął cugle w ręce i ruszył przed siebie.

Jechali bardzo długo, chyba z jakie trzy miesiące, unikając miast i wiosek, a wypoczywając w „zimowjach“ — małych chatkach, pobudowanych przez syberyjskich myśliwych na czas łowów zimowych.

Mrozy srożyły się siarczyste. Coraz częściej zrywał się szalony wichur i cisnął na podróżnych całe stopy skrzepłego śniegu.

Zwyczajny mieszkaniec miasta zapewne zginąłby w drodze, lecz Basiewiczowie podczas długiego wygnania tak się z mrozem i wichurą otrzaskali, że tylko zczernieli, przychudli, lecz czuli się wyśmienicie, otuleni w dachy z podwójnego futra jeleniego i zaopatrzeni w ciepłe obuwie na skórkach zajęczych.

Już słońce zaczynało świecić dłużej i grzać mocniej, z czego nawet mały Staś wywnioskował, że zbliża się wiosna. Właśnie sunęli brzegiem szerokiej rzeki, zamarznętej jeszcze i okrytej wysokimi wydrami śnieżnemi.

— Czy to nasza Lena? — spytał pewnego razu Staś.

— Nie, synku, to Amur, który biegnie na wschód, ku Oceanowi Spokojnemu! — objaśnił ojciec.

— A dokąd płynie Lena? — zadał chłopak nowe pytanie.

— Z południa na północ, do oceanu Lodowatego, gdzie podróżnikom w zimie i w lecie grozi śmierć — odpowiedział pan Basiewicz.

Staś nie rozumiał jeszcze słowa śmierć, więc rzekł:

— To ona nie mieszka w Oceanie Spokojnym...

— Kto? — spytał ojciec.

— No... ta śmierć!

Mieczysław zaśmiał się i odparł:

— Mieszka ona i tam, ale obok niej przebywa też życie, którego właśnie szukamy!

To rzekłszy, spojrział porozumiewawczo na żonę i uśmiechnął się tajemniczo.

W jakieś dziesięć dni potem wygnancy dojechali do brzegu morza.

Ukrywszy rodzinę w lesie, pan Basiewicz pojechał do pobliskiego miasteczka, które się nazywało Mikołajewsk na Amurze, i wstąpił do szynku, gdzie, jak sądził, gromadzili się marynarze. Nie pomylił się, bo spotkał tu szyprów, czyli dowódców małych okrętów, Rosjan, Amerykanów i Kanadyjczyków. Pijani, beczelni i brutalni nie wzbudzali oni w Polaku zaufania, więc błakał się po mieście, szukając kogoś.

Wreszcie wstąpił do sklepiku japońskiego.

Mały, barczysty kupiec, uśmiechając się uprzejmie, spoglądał pytającym wzrokiem na nieznanomego.

— Czy na redzie niema przypadkiem parowca japońskiego? — spytał Mieczysław.

Japończyk kiwnął kilka razy głową i odpowiedział łamaną mową rosyjską:

— W zachodniej zatoce ładują ryby, kość mamutową i futra dwa kutry — jeden ma płynąć do Nagasaki *), drugi, którym dowodzi mój syn — Jukio Sakuraczi, bardzo, naprawdę, dzielny szyper, dziś po zachodzie słońca podniesie kotwicę i wyruszy do Ameryki Północnej — do portu Wankuwer **). Ma dostarczyć tam kły morsowe, skórki fok i kość mamutową z nad brzegów Morza Ochockiego...

*) Miasto w Japonji.

**) Miasto w Kanadzie — port na Pacyfiku, czyli Oceanie Spokojnym.



Basiewicz długo rozmawiał z kupcem, a potem z Jukio Sakuraczi, który przyszedł pożegnać ojca.

Wreszcie młody szyper, mrużąc czarne oczy, spytał szeptem:

— Zapewne uciekacie z więzienia, gdzie wsadzono was za zbrodnie?...

Wygnaniec skoczył oburzony i, już się nie kryjąc, zawołał z dumą w głosie:

— Zostałem zesłany na Sybir za to, że nie pozwoliłem Moskalowi znęcać się nad Polakami!

— O — o! — wykrzyknęli zdumieni Japończycy. — To wy jesteście Polak? My wiemy, jaką krzywdę wyrządzili wam Rosjanie!

Pan Basiewicz z całą szczerością zwierzył się Japończykom, że uciekł z miejsca wygnania i zamierza przedostać się do Ameryki. Prosił Jukio, aby go zabrał na swój statek, co w znacznym stopniu dopomoże im do uzyskania wolności.

Japończycy długo naradzali się półgłosem, wreszcie stary kupiec rzekł uroczystym tonem:

— My wiemy, że Rosja jest wrogiem wszystkich wolnych ludów i marzy o ich podboju. Mój syn postanowił odsta-
wić was do Kanady i nic za tę przysłu-
gę od was nie żąda!

Basiewicz ze wzruszeniem dziękował szlachetnym Japończykom i z wielkim trudem uprosił kupca, aby przyjął od niego w upominku konie i krowy, które nie są mu teraz potrzebne.

Jakoż, nie zwlekając dłużej, Jukio Sakuraczi posłał szalupę, która przewiozła na okręt panią Wandę ze Stasiem i parę tobołów.

Tegoż wieczora mały, zakopcony parowiec „Asabi Maru“, ryknąwszy krótko, zgrzytnął łańcuchem kotwicy i popłynął ku wschodowi, na otwarty ocean. Na rufie łopotała biała chorągiew z czerwonym słońcem — godłem Japonji, lecz jeden z marynarzy opuścił ją wkrótce i owinał ceratowym pokrowcem.

Podniesiono ją dopiero w chwili, gdy kuter japoński zawinął do portu kana-

dyjskiego, w którym dawni wygnańcy polscy pożegnali dzielnego Jukio Sakuraczi i jego zawsze spokojnych i uprzejmych marynarzy.

Mały Staś, który nauczył się kilku wyrazów japońskich, odchodząc z rodzicami, długo wymachiwał czapeczką i krzyczał cienkim głosem:

— **Banzaj Nippon! *)**.

W Kanadzie w owe czasy chętnie widziano emigrantów.

Basiewiczowi więc nie robiono żadnych trudności paszportowych, a władze portowe, dowiedziawszy się, że jest wprawnym ślusarzem, dały mu bilet wolnej jazdy i skierowały go do dużego miasta Winnipeg.

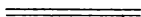
W trzy dni później Mieczysław Basiewicz miał już posadę w wielkiej firmie drzewnej, posiadającej tartaki w północnych obwodach kraju.

Emigrant nie mówił po angielsku, lecz firma, zatrudniając znaczną ilość robotników Rosjan i Czechów, miała

*) Niech żyje Japonja!

urzędnika mówiącego po rosyjsku i po czesku.

Basiewicz został zaangażowany, jako mechanik do motorów, ustawionych na tartaku w prowincji Saskaczewan, nad Bobrową rzeką.



Rozdział 2.

CZERWONOSKÓRZY SĄSIEDZI.

Kanadyjską prowincję Saskaczewan zaludniają ludzie o czerwonej skórze—Indjanie. Nad Bobrową rzeką mieszkali w ubogich wioskach **Delawarowie**.

W owych czasach byli oni już ostatecznie podbici przez Anglików i powoli zapominali o dawnym, świetnym życiu wolnych łowców i wojowników.

Teraz zmuszeni byli pracować na wyrębie lasu i w tartaku.

Dumny był to jednak szczep i żądał dla siebie szacunku od białych przybyśców.

W małych chatkach, zbudowanych z grubych kłoców sosnowych, Delawa-

rowie przechowywali pamiątki po swoich wojowniczych dziadach.

Na ścianach wisiały starożytne krzemionkowe karabiny, małe siekierki - tomahawki i długie, ciężkie noże. Rogi jelenie, łosiowe i bawole zdobiły izby, a na drewnianych ławach leżały skóry brunatnych niedźwiedzi, bobrów i rysiów. Ten i ów z Delawarów przechowywał troskliwie czaszki i pazury grizli — szarego niedźwiedzia z gór Skalistych.

Indjanie mieli własnego wójta.

Był nim wnuk ostatniego wodza wolnego szczepu Rambas, przezwany „Chyżym Orłem“.

Z nim to umawiał się dyrektor tartaku o ilość posyłanych do lasu robotników i o zapłatę dla nich, a każdy rozkaz Rambasa bez sprzeciwu był wykonywany przez Delawarów.

Po przybyciu na tartak Basiewicz otrzymał mieszkanie w nowym domku, należącym do wójta, a znajdującym się obok jego chaty.

Pani Wanda poznała i zaprzyjaźniła się z żoną Rambasa — Idimą, a Staś bawił się z dziesięcioletnim synkiem wodz — Mambasem, na którego wołał — Mab.

Czerwonoskóry chłopak, silny i niezmiernie zwinny, umiał już łapać konie, siodłać je i w biegu dosiadać; znał się też na łapaniu ryb i zastawianiu siodeł na lisy, zające, borsuki i kuny, marzył zaś o strzelbie i o polowaniu na grubego zwierza.

Chłopaki odrazu przypadły sobie do gustu i nie rozstawały się ani na chwilę, całe dni spędzając razem nad rzeką lub w lesie.

Staś nauczył się niebawem mówić w narzeczu Delawarów.

Prócz tego pierwsze lekcje angielskiego dawał mu Mab, posługujący się dziwną, łamaną mową.

Wiadomo, że „lepszy rydz, niż nic“, to też Staś od tej pokaleczonej angielszczyzny przeszedł wkrótce do mowy poprawnej i w pół roku po przybyciu

na tartak wstąpił już do szkoły, założonej przez Anglików.

Teraz znów zkolei Staś uczył Maba, powtarzając mu wszystko to, o czym się dowiadywał od dobrego, zawsze pogodnego staruszka-nauczyciela.

Mały Delawar okazał się zdolnym uczniem, więc Staś chętnie pracował z nim, ucząc go pisać, czytać i rachować, opowiadał mu o nieznanym krajach, zwierzętach, ludziach i obyczajach.

Czynił to przez czas jakiś, aż pewnego razu udał się do chaty wójta i rzekł do niego:

— Wasz syn, Rambasie, może już wstąpić do szkoły. Nauczyłem go wszystkiego, co potrzeba do egzaminu!

— Dziękuję, mały przyjacielu! — zawołał Delawar. — Dziękuję! Nauka jest rzeczą wielką i potrzebną. Bez niej syn mój pędziłby życie nędznego robotnika, a tegobym nie chciał!

Westchnął i spuścił czarne oczy, jak gdyby nie śmiejąc dokończyć swej myśli.

Pan Mieczysław, chociaż mieszkał w najbliższem wójta sąsiedztwie, rzadko z nim obcował i rozmawiał zaledwie w przelocie, spotykając go na ulicze osiedla.

Przez cały dzień był bardzo zajęty, gdyż stare maszyny wciąż się psuły i należało je naprawiać, zastępując zużyte części nowymi.

Zresztą była tam jeszcze inna przyczyna.

Dyrektor, spostrzegłszy, że Basiewicz jest zdolnym mechanikiem, coraz częściej pozostawiał tartak na jego opiece, sam zaś spędzał czas w dużem mieście Winnipeg.

Tak więc jakoś się składało, że pan Mieczysław nie mógł się zetknąć z „Chyżym Orłem“ na dobre.

Zato pani Wanda i Staś byli częstymi gośćmi w chacie Indjanina, a Idima stale przesiadywała u Basiewiczów, narażając się z nimi w różnych sprawach domowych, gdyż smutno jej było bez męża, który w lasach przebywał najczęściej.

Mały Mab powracał ze szkoły dopiero po południu, więc żona wodza miała dużo wolnego czasu.

Pewnego razu pani Wanda opowiadała jej o Polsce, o wygnaniu i ucieczce z Sybiru.

Indjanka powtórzyła to Rambasowi.

Wysłuchał jej z zapartym oddechem, a nozdrza mu się rozdymały.

— Na Wielkiego Ducha! — mruknął wreszcie. — Dzielny z niego człowiek! Dobrze się stało, że zamieszkał w naszym domu...

Od czasu tej rozmowy zawsze czatował na powracającego z pracy Basiewiczza i, witając go uprzejmie, wszczytnął rozmowę.

Wkrótce się zaprzyjaźnili na dobre.

Wspólne zamiłowanie do rybołówstwa też się trochę ku temu przyczyniło.

Polak z Indjaninem spędzali święta nad brzegami „Zimnego Jeziora“, w którym się roiło od pstrągów, małych łososi i szczupaków.

Basiewicz, wprawiony w łowy letnie i zimowe na rybnej Lenie, nauczył nowego przyjaciela nieznanym mu sposobów chwytania największych ryb na wędkę, którą opuszczano do przerębli.

W ten sposób przez okrągły rok obie rodziny nie czuły niedostatku świeżego i doskonałego pożywienia.

Z prowjantem było tu naogół ciężko,

Zapasy żywności przywożono jucz-
nemi końmi, gdyż tylko ścieżki, wy-
deptane w kniei, prowadziły do osiedla.
Robotnicy żywili się więc lichu. Wyda-
wano im zatęchłą mąkę, która w wil-
gotnym klimacie szybko się psuła, za-
pleśniałe suchary żytnie, suszone in-
dyjskim sposobem mięso reniferowe i
solone ryby.

W lecie ludzie urozmaicali swoje po-
żywienie, zbierając jagody, dziko ro-
snące w lesie, i owoce: jabłka, czerem-
chę, porzeczki, maliny, borówki i grzy-
by, w zimie zaś, która trwała całe pięć
miesięcy, cierpieli z braku jarzyn i o-
woców.

Robotnicy, a szczególnie dzieci ich, zapadali na zaburzenia żołądkowe, skorbut i inne dolegliwości.

Basiewicz, dowiedziawszy się, że kilku robotników nagle zachorowało, podszedł pewnego razu do dyrektora i rzekł do niego:

— Ludzi nam ubywa, znowu kilkunastu z nich nie przyszło na roboty... podobno skorbut ich zmógł!...

Dyrektor pokiwał głową i odparł obojętnym głosem:

— W zimie to zwykła rzecz... Kto dożyje lata, ten wyzdrowieje, a kto nie wyzdrowieje, ten już lata się nie doczeka...

To powiedziawszy, zaśmiał się głośno, zadowolony ze swego dowcipu.

— Jakto? — spytał mechanik. — Umrą? I pan dyrektor może tak spokojnie o tem mówić?!

Basiewicz czuł, że ogarnia go oburzenie, lecz Anglik wzruszył ramionami i mruknął:

— Nie mam powodu psuć sobie wątroby niepokojem... W Kanadzie mamy

poddostatkiem emigrantów... Jednego zmarłego dwudziestu innych pochowa z radością, że zwolnił miejsce...

Te okrutne słowa podobały się panu dyrektorowi, więc znowu wybuchnął śmiechem i dodał:

— Niech się pan nie obawia! Znajdziemy tylu ludzi, ilu zażądamy.

Polak zrozumiał jakiego ma przed sobą człowieka, więc, zacisnąwszy zęby, pomilczał chwilę, a potem znów się odezwał:

— Nie o to chciałem zapytać pana dyrektora... Sądzę, że moglibyśmy uniknąć nadmiaru chorych i zaoszczędzić na tem.

— Zaoszczędzić? — powtórzył zainteresowany Anglik. — Lubię mądre uwagi!

Pan Mieczysław uśmiechnął się nieznacznie i ciągnął dalej:

— Firma wydaje sporo dolarów na kwas cytrynowy, taninę i chinę, któremi zwalcza szkorbut, gdy tymczasem możnaby tego uniknąć tak, jak się robi w kopalniach złota w Rosji...

Widząc na twarzy Anglika zainteresowanie, Basiewicz opowiedział mu, że właściciele kopalń na Syberji za pierwszą i najważniejszą swoją czynność uważają założenie ogrodu warzywnego, robiąc na zimę zapasy cebuli, czosnku, pietruszki, chrzanu — tych najlepszych i najpotężniejszych leków na szkorbut. Wynajmują też specjalnych robotników do gromadzenia suszonych czarnych jagód, głogu, borówek, poziomek, malin i różnych leczniczych ziół, jak mięta, piołun, skrzyp, liście niektórych roślin, używanych w medycynie i stosowanych przez znachorów miejscowych.

To właśnie doradzał Mieczysław Basiewicz swemu dyrektorowi, który słuchał go uważnie, a nawet uśmiechnął się życzliwie, gdy mechanik wspomniał, że ludność osiedla będzie go za to błogosławiła.

— **All right! ***). Polecam wam zająć się tą sprawą!

*) Odpowiada naszemu wykrzykownikowi: Doskonale!

Poklepawszy Basiewiczą po ramieniu, odszedł, wesoło pogwizdując.

— E-e! — pomyślał pan Mieczysław.
— Wcale nie taki zły z niego człowiek!

Powróciwszy do domu, opowiedział żonie o swej rozmowie z dyrektorem i dodał:

— Na wiosnę musisz się, Wańdziu, zakrzętnąć koło ogrodu. Dam ci ludzi do pomocy i urządzisz tak, jak to robią sybiracy!

— Bardzo się cieszę! — zawołała pani Basiewiczowa. — Założę tu duży ogród, a dopomogą mi w tem Idima i dzieci ze szkółki!

Tak się też stało.

Na wiosnę wybrano dogodne miejsce na niskim brzegu rzeki, gdzie niewysokie, lesiste pagórki broniły przyszłego ogrodu przed podmuchem zimnego północno-wschodniego wiatru.

Chłopacy szybko uprzątnęli wszystkie kamienie, a przysłani przez dyrektora robotnicy zorali ziemię i dodali do niej gnoju, leżącego grubym pokładem

tuż za ostatniemi parkanami osiedla.

Pod komendą pani Wandy całe bractwo kopnęło się teraz do robienia grzęd i kopania rowków, któremi miała biec woda z pobliskiego stawu.

Wśród robotników, pracujących na tartaku, znalazł się też jakiś Belgijczyk.

Trudnił się niegdyś ogrodnictwem, które szczególnie pod Brukselą *) doprowadzono do niezwyklej doskonałości. Straszny nałóg pijaństwa spowodował, że cichy i milczący Belgijczyk Jean Baillu **), wszystko stracił, wpadł w nędzę i musiał szukać dla siebie bylejakiego zarobku na obczyźnie.

Ten to Baillu, przyglądając się robotcie pani Wandy, dał jej kilka fachowych rad. Między innemi namówił ją, aby wystawiła od strony wiatrów niewysoki płot z cienkich palów i słomy, pomalowanej farbą fioletową.

— Bo to, widzi pani — mówił Jean, zlekka się jąkając — fioletowa barwa

*) Stolica Belgji.

**) Czytaj — Żan Bajju.

pomaga rozwojowi i owocowaniu roślin. Sprawdziłem to w swoim ogrodzie pod Brukselą i muszę tu jeszcze zaznaczyć, że radziłbym zbudować małą oranżeryję... Belek i desek mamy tu wbród, a i szkło się znajdzie, bo na śmietniku za tartakiem widziałem odłamków coniemiarą. W oranżeryji będziemy hodowali małe jabłonki, czereśnie, gruszki... dla dzieci... a w zimie wyrośnie nam świeża sałata, cebula, koperek i fasolka!

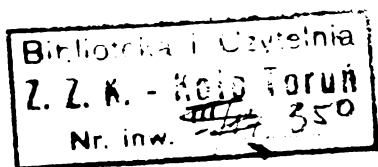
Dyrektor, dowiedziawszy się o projekcie wybudowania oranżeryji, kazał wydać potrzebny budulec i kilka skrzyń ze szkłem i polecił uszczęśliwionemu Belgijczykowi zająć się robotami ogrodowymi.

Gdy się już na dobre ociepliło, a z Winnipegu nadeszły sprowadzone przez dyrekcję nasiona i sadzonki, w ogrodzie zakipiała gorączkowa i wesoła robota, którą kierował doświadczony Jean Baillu, obecnie trzeźwy i niezwykle wesoły człowiek.

Chłopcy i dziewczynki ze szkoły pracowali z takim zapamię, że roboty zostały bardzo szybko ukończone.

Wśród grzęd i w oranżerji, gdzie Belgijczyk posadził młode drzewka, pracowała odtąd pani Wanda z Idimą i Jeanem i niewielką grupką dzieci, które codzień się zmieniały.

Urodzaj zapowiadał się obfity, i wprawny ogrodnik z zadowoleniem zacierał ręce.



Rozdział 3.

WÓDZ IROKEZÓW.

Mambas, synek „Chyżego Orła“, jak cień, chodził za Stasiem.

Gdy chłopak rano wychodził na podwórze, mały Indjanin czekał już na niego przed drzwiami i witał radośnie.

Pewnego razu postanowili sobie zrobić razem wycieczkę.

Długo się naradzali, w którą mają się udać stronę, lecz sprawę tę rozstrzygnął „Chyży Orzeł“. Zbliżywszy się do Stasia, rzekł do niego:

— Mały przyjacielu! Słyszałem wczoraj, że mama twoja chciała posadzić na grzędach dziką cebulę, która dobra jest na wszelkie choroby. Znam

takie miejsce, gdzie rośnie dużo cebuli. Dam wam czółno. Popłyniecie prawą odnogą Bobrowej rzeki aż do miejsca, gdzie ona przebija sobie łożysko wśród Czerwonych Skał. Na ich to szczycie leży łąka, a na niej dużo cebuli i poziomek. Mambas umie wiosłować...

— O-o! — zawołał Staś. — Wiosłowałem i sterowałem na takiej szerokiej rzece, jak Lena, więc z waszą dam sobie radę!

„Chyży Orzeł“ uśmiechnął się i odpowiedział:

—— No, to i dobrze!

Chłopcy nie zwlekali długo. Złożyli do czółna trochę żywności, wędki i dwa kosze i odpłynęli.

Przed wieczorem dopiero dotarli do Czerwonych Skał, pod którymi rozniecili ognisko i, zawiesiwszy nad niem kociołek, poszli na ryby.

W zaciśniętej pomiędzy wysokimi brzegami rzeki, wspieniona i wirująca woda mknęła, jak szalona.

Przyjaciele spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się porozumiewawczo.

Wiedzieli już, jakiej mogą się tu spodziewać zdobyczy.

Nadzieja nie zawiodła ich.

W niespełna półgodziny schwytali na wędki kilka dużych pstrągów i pięknego srebrzystego łososia, nakrapianego w czerwone centki.

Mab pobiegł do ogniska, aby przygotować kolację. Staś, korzystając z tego, postanowił wdrapać się na skały i rozejrzeć się po okolicy

Ze szczytu ujrzał całą dolinę rzeki, na zachodzie zaś prawie czarną ścianę lasu, gdzie znikąca zarumieniona zachodzącym słońcem jej ruchoma wstęga.

Za skałami rozchodziła się na wszystkie strony i dotykała lasu olbrzymia łąka.

Żadnego osiedla ani nawet chatki nie dostrzegł na niej zapatrzonego i zachwyconego Staś. Podobała mu się ta okolica, bo krajobraz w pobliżu tartaka nie odznaczał się malowniczością.

Zbyt długo bowiem ludzie zamieszkawali tę miejscowość.

Zdążyli już wytrzebić lasy, zachwacić całą okolicę, zaśmiecić brzeg rzeki korą, trocinami i wiórami, a tkwiące jeszcze tam i sam drzewa zakopcić dymem maszyny i okryć drobnym pyłkiem drzewnym i węglowym.

Tu wszystko wyglądało inaczej, cieśzyło wzrok świeżością, siłą i bujnością trawy i olbrzymów leśnych.

Ostatnie, szkarłatne promienie słońca nadawały całej okolicy jakiś łagodny i tajemniczy zarazem wygląd.

Chłopak poszedł przez łąkę ku potężnym bukom, rosnącym na niewysokim pagórku.

Wszedłszy do zarośli leszczyny, posłyszał nagle lekki trzask złamanej gałęzi.

Dźwięk ten rozległ się wprost przed nim, lecz więcej się nie powtórzył.

— Zapewne urwał się jakiś sęk... — pomyślał Staś i ruszył naprzód.

Nie zdążył jednak ująć stu kroków, gdy z poza grubego pnia wynurzyła się nagle dziwna postać ludzka.

Wysoki, chudy Indjanin, o twarzy okrytej białymi i żółtymi pasami, stał przed nim, czarnemi, badawczemi oczami oglądając go uważnie.

Stach spostrzegł orli nos i szerokie brwi nieznajomego, zapamiętał sobie dobrze jego skórzaną kurtę, tomahawk, zatknięty za pasem, krótki nóż w mo siężnej pochwie i karabin, na którym się opierał.

Indjanin miał na głowie ozdobę z czarnych piór sępich, a z ramion spadała mu krótka peleryna, obramowana ciemnem futrem.

Stali i przyglądali się sobie z ciekawością.

Wreszcie Indjanin podniósł głowę wysoko i przemówił dumnym głosem:

— Jestem „Czarny Sęp“, syn Uangarona, wnuk Bejty z nad Atabaski...

Staś, który zapoznał się już z niektórymi obyczajami indyjskimi, odparł natychmiast:

— Nazywam się Stanisław. Jestem synem mechanika z tartaka, a przyjacielem ojca mego jest wódz Delawarów z nad Zimnego Jeziora „Chyży Orzeł“.

Indianin uśmiechnął się życzliwie.

— Niech Wielki Duch pomaga ci na ziemi Irokezów Czarnych *) — mruknął i, wykrzesawszy ognia, zapalił fajkę, pyknął parę razy i podał ją chłopakowi.

— Nie palę! — rzekł Staś, podnosząc ramiona.

— Dlaczego nie chcesz wypalić fajki pokoju, którą ci daje Czarny Sęp? — groźnie już spytał Irokez.

Chłopak, uśmiechając się, odpowiedział:

— Mały jeszcze jestem, wodzu walecznych Irokezów! Nie jest w obyczaju u białych ludzi, aby dzieci paliły fajkę.

Czarny Sęp kiwnął głową, a twarz mu złagodniała.

Pykając fajkę, spytał znowu:

*) Nazwa szczepu indyjskiego.

— POCO tu przybyłeś? Czyż nie wiesz, że ziemia ta należy do mnie i mego szczepu?

Staś objaśnił przyczynę swego tu przyjazdu i dodał:

— Chyży Orzeł nic mi nie mówił o tobie, Czarny Sępie... Nic też nie słyszałem o Irokezach od syna jego, a mego przyjaciela, małego Mambasa... Skoro jednak nie chcesz, abym zbierał tu cebulę dla chorych robotników, odjadę!

Indianin przecząco potrząsnął głową.

— Wielki Duch rzuca nasiona pożytecznych roślin dla użytku wszystkich ludzi, i tych, co mają skórę czerwoną, i tych, których my nazywamy „białymi przybyszami“. Chyży Orzeł nic ci o mnie nie mówił... Ha, wstydzi się mnie...

— Chyży Orzeł ma czyste sumienie i jest szlachetnym człowiekiem! — gorąco bronił chłopak czerwonoskórego przyjaciela.

— Wiem o tem! — mruknął Indja-

nin. — Oskarżam go tylko o to, że bez walki oddał swoją ziemię Anglikom, którzy wytępiłi Delawarów!

Zapadło milczenie.

Ściemniało tymczasem na dobre.

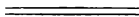
— Muszę wracać do swego ogniska. Mały Mambas czeka na mnie — szepnął Staś, zmieszany milczeniem Irokeza.

— Niech Wielki Duch cię prowadzi!

— mruknął Indjanin i pozostał na miejscu, nieruchomy, jak posąg.

Chłopak szybko pobiegł w stronę urwiska, wołając:

— Mab! Mab! Powracam już, powracam!



Rozdział 4.

Z DZIEJÓW INDJAN.

Nazajutrz chłopcy przez cały dzień wykopywali na łące dziką cebulę, lecz nie widzieli już nikogo.

Staś wypytywał przyjaciela o Czarnego Sępa i bardzo się zdziwił, usłyszawszy odpowiedź Maba:

— Jest on wielkim wodzem wolnych Irokezów!

W głosie chłopaka zabrzmiała duma i zachwyt.

— Coś pleciesz, mój mały! — zawołał Stach. — Wiem przecież, że od stu bodaj lat Francuzi i Anglicy podbili wszystkie indyjskie plemiona.

Mab potrzęsnał głową i odpowiedział natychmiast:

— Wszystkie, za wyjątkiem Irokezów Czarnych i Delawarów!

— Opowiedz mi, co wiesz o tem! — poprosił Staś.

Indjanin usiadł i po chwili namysłu jął mówić:

— Anglicy, odebrawszy Francuzom Kanadę, podbili wszystkie szczepy czerwonoskórych ludzi, którzy zamieszkiwali stepy i lasy w pobliżu wielkich jezior. Biali zaczęli się posuwać na północ od Winnipegu i tu natrafili na opór Delawarów i Irokezów. Indjanie jednak zmuszeni byli się cofnąć aż na Atabaskę, gdzie udało im się otoczyć angielskie wojsko. Wódz Irokezów Bejta, przezwany „Strasznym Niedźwiedziem“, zagroził „białym“ śmiercią, jeżeli nie uznają wolności zwycięskich szczepów. Anglicy podpisali umowę...

Mab nagle umilkł, więc Staś zapytał:

— Delawarowie zatem także są wolni?

Indjanin spuścił oczy i odparł ponurym głosem:

— Delawarowie zaczęli szybko wymierać i musieli oddać Anglikom swoje łąki i lasy. Irokezi Czarni liczą trzy tysiące wojowników i uparcie trzymają się przy swych posiadłościach, nie czyniąc żadnych ustępstw i nie chcąc mieć białych ludzi na swej ziemi.

Staś zrozumiał teraz tajemnicze słowa, wypowiedziane przez Czarnego Sępa o wodzu Delawarów Rambasie. Irokeski wojownik wołał, żeby wszyscy Indianie znikli z powierzchni ziemi, niż, żeby się stali sługami przybyszów.

— Czy Delawarowie mogą swobodnie podróżować po posiadłościach Irokezów? — spytał Stach.

— Taki układ został potwierdzony przez wodzów! — objaśnił Mab.

Siedzieli przy ognisku, czekając, aż się im woda zagotuje w kociołku. Po podwieczorku zamierzali wyruszyć w drogę powrotną. Mieli ją odbyć w dwie godziny, gdyż wypadało płynąć z wartkim prądem.

Chłopcy milczeli, pogrążeni we własnych myślach, gdy nagle z krzaków wyszedł Czarny Sęp i, nic nie mówiąc, usiadł przy ognisku i długimi rękami objął zgięte kolana.

Chłopcy, wpatrując się w jego surowe, okryte farbą oblicze, nie odzywali się wcale, czekając, aż gość rozpocznie rozmowę.

Wreszcie Indianin spojrział na Maba i mruknął:

— Chłopcze, powiedz swemu ojcu, iż Czarny Sęp będzie go oczekiwał na przedęczy „Trzech Ptaków“...

Mab skinął głową.

Irokez westchnął ciężko i po chwili szepnął:

— Ludzie moi wymierają, bo złe duchy ścigają nas... Chcę się naradzić z Rambasem...

Staś, usłyszawszy to, spytał:

— Na co chorują wasi wojownicy?

Wódz wzruszył ramionami i odpowiedział smutnym głosem:

— Nie wiem... a nasi znachorzy są bezsilni... Ludzi moich trawi jakaś gorączka i nieprzerwane krwotoki żołądkowe... Jeżeli to potrwa dłużej, lasy nasze szybko opustoszeją...

Znowu westchnął i spuścił głowę na piersi.

Staś, namyśliwszy się dobrze, rzekł:

— Moja mama umie leczyć różne choroby i zna się dobrze na lekach białych ludzi... W osiedlu przy tartaku niejednego już robotnika ocaliła od śmierci...

Czarny Sęp podniósł głowę i wpatrywał się w chłopaka, który tymczasem ciągnął dalej:

— Przywieziemy tu jutro moją mamę i naszą apteczkę...

Irokez potrząsnął głową.

— Osiedla nasze leżą po tamtej stronie rzeki Bigrawan — mruknął — a tej granicy nie wolno przekroczyć żadnemu Anglikowi ani Angielce!

Stach dotknął jego ramienia i zawołał:

— Ależ my nie jesteśmy Anglikami! Ojczyzną naszą jest Polska, najpiękniejszy kraj na świecie!

Ponieważ Indjanin nic o Polsce nie wiedział, więc chłopak opowiedział mu o wszystkim, co wiedział i pamiętał. Gdy wspomniał o uciemieniu Polaków przez Moskali, Czarny Sęp zgrzytnął zębami i ręką dotknął głowni tomahawku.

— Cześć wam i chwała za to, że nie schylacie karków przed wrogiem — rzekł poważnym głosem. — Matka twoja, chłopcze, twój ojciec i ty sam będziecie uważani za przyjaciół w osiedlach Irokezów Czarnych! A teraz śpieszcie się z odpłynięciem, aby was noc nie zastała na rzece. Czekać tu na was będę jutro przed zachodem słońca na Czerwonych Skałach... Niech i Rambas przybywa z wami... mam pilną sprawę...

Podniósł rękę na znak pożegnania i zniknął w krzakach.

W półgodziny potem, czarne czółno
indyjskie, unoszone silnym prądem,
mknęło z biegiem rzeki.



Rozdział 5.

W OBOZIE „CZARNEGO SĘPA“.

Całe dwa tygodnie pani Wanda wraz ze Stasiem i Mabem spędziła w obozie wodza Irokezów.

Zbadawszy chorych, przekonała się, że zapadli na dyzenterję i odrazu znalazła na nią leki.

Wszystkim pokolei dała naprzód oleju rycynowego, a potem kazała im robić gorące okłady, pić nawar z czarnych jagód z dodatkiem kory dębowej i łykać proszki kalomelu.

Chorzy jeden po drugim powracali do zdrowia.

Pani Wanda już po pięciu dniach zamierzała powrócić do domu, lecz zatrzymała ją pewna okoliczność.

Spostrzegła, bowiem, brudy, panujące w chatach Irokezów i nieumyte, nieuczesane dzieciaki, zjadane przez robactwo i cierpiące na ropienie się oczu.

Upłynęło sporo czasu, zanim udało jej się objaśnić Indjanki i nauczyć je czystości i porządku w domach.

Dopiero, gdy uprzątnęły straszliwie zanieczyszczone domostwa, pani Basiewiczowa przystąpiła do leczenia chorej na oczy dziatwy.

Leczenie to było niezmiernie proste i rozumne.

Zawołała Stasia i kazała mu pokazać dzieciakom, jak się należy myć. Po kilku pokazowych lekcjach zgromadziła koło siebie kobiety i nauczyła je, jak należy przyrządzać mydło z popiołu i odpadków łoju.

— Przemywajcie starannie oczy dzieciom, a zobaczycie, że nie będą cierpiały i ślepy, jak to się teraz często, niestety, zdarza — mówiła.

Indjanki słuchały rad jej uważnie i z wdzięcznością.

Przychodziły do niej ze swemi trostkami i dolegliwościami, a pani Wanda radziła i pomagała biednym, ciemnym kobietom, jak mogła i umiała.

Staś też nie próżnował.

Otaczał go cały tłum czerwonoskórych chłopaków, którzy, wybałuszywszy czarne oczęta, przyglądali mu się z ciekawością.

Krępowало go to z początku, lecz wkońcu przyzwyczaił się do ich niemych spojrzeń i pomyślał sobie:

— Nudne to jest coprawda, ale cóż robić?! Muszę się z tą hałastrą jakoś rozmówić...

Rozpoczął od rozmów z chłopakami. Indjanie jednak albo milczeli, albo odpowiadali krótkimi zdaniami, jakgdyby nie dowierzając mu lub obawiając się czegoś.

Wtedy Stach zmienił swoje z nimi postępowanie.

Prowadził ich na polanę w lesie lub na brzeg rzeki i zaczynał im opowiadać o dużych miastach, takich, jak

Warszawa, Wankuwer i Winnipeg, o okrętach, morzu, nieznanym krajach, ludziach i ich życiu.

Mali Indianie słuchali go z zapartym oddechem, wkrótce zaś ten i ów z nich zaczął mu zadawać pytania, a po paru dniach bractwo rozgadało się na dobre.

Staś, chociaż jeszcze bardzo młody, powiedział im coś, co zastanowiło Czarnego Sępa i zmusiło wszcząć poważną rozmowę z panią Wandą.

— Syn białej niewiasty powiedział memu synowi, że bez nauki każdy naród musi zmarnieć i zginąć... Czy to prawda? — spytał wódz.

Pani Basiewiczowa długo tłumaczyła Irokezowi znaczenie słów Stasia, a chcąc, aby Indianin lepiej ją zrozumiał, przytoczyła taki przykład:

— Wyobraźcie sobie, wodzu, iż chcecie walczyć z białymi ludźmi, którzy skrzywdzili was. Tymczasem uzbrojeni jesteście tylko w łuki, gdy w tym samym czasie przeciwnicy wasi z odległości trzech tysięcy kroków strzelają

do Irokezów z dalekonośnych karabinów...

— Irokezy zginą w tym wypadku...— mruknał Czarny Sęp.

Pani Wanda kiwnęła głową i ciągnęła dalej:

— Tak też i w życiu się dzieje, mój wodzu! Wasi ludzie częstokroć chorują i umierają, ponieważ wy nie umiecie korzystać z medycyny, nauki o chorobach i leczeniu. Dolegliwości, które dla uczonego białego człowieka są błahostką, mogą spowodować śmierć lub kalectwo wśród ciemnych, niewykształconych Indian. Czy dobrze mówię?

Irokez potrząsnął głową i odparł pewnym głosem:

— Biała niewiasta wyrzekła sprawiedliwe słowa, które zapadły do serca wodza!...

Umilkł i zamyślił się.

Po pewnym czasie znowu mówić zaczął:

— Obawiam się wpuszczać na nasze tereny Anglików! Widziałem już nie-

raz, a Czyży Orzeł potwierdzi, że Anglik czy to misjonarz, czy to nauczyciel lub lekarz potrafi zagarnąć ziemię, należącą do nas...

Pani Basiewiczowa, przerywając mu, wyjaśniła:

— Są to skutki waszej ciemnoty! Nie znacie prawa, więc każdy może was podejść i oszukać.

— Tak! — zgodził się wódz. — Jednak nie chciałbym tu widzieć nauczyciela — Anglika... Czy nie moglibyście pozostawić nam waszego syna, aby uczył naszą młodzież sztuki czytania i pisania?

Teraz zamyśliła się z kolei pani Wanda i dopiero po długim milczeniu oświadczyła:

— Bez narady z mężem nie mogę wam teraz odpowiedzieć, wodzu. Mój chłopak przez cały czas wakacyj jest wolny, lecz nie wiem, jak na tę prośbę waszą odpowie mój mąż...

Czarny Sęp spuścił głowę i mruknął:

— Naradźcie się z nim i powiedzcie mu, że wódz Irokezów bardzo go o to prosi!

Westchnął i dorzucił z westchnieniem:

— Muszę ratować swój szczep, który inaczej zginie!

Pan Basiewicz, wysłuchawszy opowiadania żony, długo się namyślał, wreszcie rzekł:

— Kto wie, co nas czeka? Byłoby może wskazane nawiązać bliskie i serdeczne stosunki z Irokezami. Jeżeli Staszek ma ochotę, to może pojechać do ich obozowiska.

Chłopak, marzący o przygodach, przystał na to chętnie i w trzy dni potem zjawił się już w domu Czarnego Sępa z walizką, wypchaną książkami i zeszytami.

Nauczanie Indian rozpoczął tegoż samego dnia, a tak umiejętnie i pomyślowo, że najmniej nawet zdolni robili postępy.

Czas upływał mu szybko, bo poza lekcjami, w godzinach wolnych od zajęć z uczniami, brał udział w łowach Irokezów.

Czarny Sęp dał mu karabin i chłopak strzelał z niego do jeleni, czerwonych wilków, skradających się do stad indyjskich, do lisów i rosomaków.

Uangaron, syn wodza, nauczył Stacha chwycić konie i byki na łąso i razem z nim odbywał dalekie przejażdżki konne, odwiedzając odległe od obozu pastwiska.

Pewnej nocy rozległ się nagle jakiś gwar za ścianą domu, i Stach się obudził.

Posłyszawszy niespokojne głosy całego tłumu, zerwał się z posłania i wybiegł na dwór.

— Co się stało? — spytał Uangarona.

Ten, nic nie mówiąc, ręką wskazał przed siebie.

Staś dopiero wtedy spostrzegł łunę. Niby czerwona płachta wisiała pod czarną kopułą nieba, to rozpalając się, to przygasając.

— Pali się w osiedlu Chyżego Orła!
— krzyknął jakiś Irokez, podbiegając do wodza. — Ze szczytu Czerwonych Skał wyraźnie widać płomienie i dym!

— Mój Boże! — zawołał rozpaczliwym głosem chłopak. — Być może, tatuś i mamusia są w niebezpieczeństwie! Co robić? Co robić?

Czarny Sęp położył mu rękę na ramieniu i szepnął:

— Nie rozpaczaj, my wam pomożemy!

To rzekłszy, rzucił w tłum krótki rozkaz.

Za chwilę Indianie przyprowadzili osiodłane konie.

Pięćdziesięciu jeźdźców pomknęło w mrok nocny.

Na czele oddziału pędził wódz, mając przy sobie Uangarona i Stasia.

Rumaki rwały, jak wichry, i z trwożnym rzeniem wpadły do osady, stając dęba i chrapiąc z przerażenia.

Staś ujrzał tartak. Stał cały w płomieniach. Nawet płot się palił, a wężyki ognia biegły po gałęziach drzew, o-

taczających budowlę. Z żalosnym brzękiem rozpryskiwały się szyby okien, rozlegały się nawoływania, gwizdki stróżów nocnych, syk wylewanej wody i wycie psów.

Czarny Sęp, obejrzawszy miejsce pożaru, krzyknął do swoich ludzi.

Zeskoczywszy z koni, zaczęli pomagać w gaszeniu tartaku i wyrąbywać drzewa, które zagrażały podpaleniem stojących w pobliżu domów.

Dopiero o świcie ugaszono ogień. Tartak spłonął do fundamentów. Nad zgłiszczami sterczały resztki okopconych murów i popękany komin fabryczny.

Na szczęście, domy mieszkalne nie ucierpiały od ognia; nie zdarzyło się również nieszczęść z ludźmi.

Zrozpaczony dyrektor wyjechał natychmiast z raportem do zarządu kompanji w Winnipeg.

Do osady delawarskiej już nie powrócił.



Rozdział 6.

INDJANOPOLIS.

Dyrekcja przedsiębiorstwa postanowiła nie odbudowywać tartaku nad Bobrową rzeką i wymówiła wszystkim urzędnikom i robotnikom, którzy, naradziwszy się pomiędzy sobą, ruszyli do miasta, ażeby pobrać zarobione pieniądze i szukać nowej pracy.

— Kiedy wyjedziemy? — spytała męża pani Wanda, gdy ostatnia partja dawnych robotników opuściła osadę.

— Nie wiem jeszcze... — odpowiedział zamyślony Basiewicz i wyszedł z chaty.

Od czasu pożaru codziennie spędzał długie godziny na pogorzelisku, uważnie

oglądając motor parowy i różne części maszyn.

Gdy wszyscy już odjechali, przesiadywał tam wraz z Rambasem.

Wódz Delawarów tłumaczył mu coś i opowiadał z ożywieniem.

Pewnego razu, spostrzegłszy, że pani Wanda pakuje rzeczy, Basiewicz zmarszczył czoło i mruknął:

— Nie śpiesz się ze zwijaniem mieszkania! Za parę dni dopiero będę wiedział, co dalej robić ze sobą...

Tegoż dnia wraz z Chyżym Orłem wsiedli do czółna i popłynęli.

Wyszli na brzeg dopiero koło Czerwonych Skał, a Rambas rozpałił na ich szczycie jasne ognisko.

Był to sygnał, po którym zjawił się niebawem wódz Irokezów i usiadł przy ognisku, pytającym wzrokiem patrząc na przybyłych gości.

— Wodzu — zaczął Basiewicz swoją przemowę do Indianina — tartak białych ludzi poszedł z dymem, i Anglicy nie chcą go uruchomić powtórnie. Osa-
da opustoszała, bo wszyscy porzucili

ją i ođjechali do miasta. Uważnie obejrzałem maszyny, pozostałe po pożarze. Prawda, że są opalone i częściowo zniszczone przez ogień, lecz taki wprawny mechanik, jak ja, mógłby je naprawić i puścić w ruch. Niezawodnie, że będzie to wymagało pewnego kapitału, lecz, pamiętajcie, że to się wkrótce zwróci z hojnym nawet naddatkiem, gdyż ceny na drzewo stoją wysoko, biali ludzie, budując kolej, potrzebują dużo podkładów, belek i desek dla gmachów stacyjnych i dla miasta, gdzie się zjawiają nowe dzielnice. Jest to dobry i pewny interes! Z nim to przyjechałem do was.

Po takim wstępie pan Basiewicz jął zachęcać Irokeza, aby wraz z całym szczepem swoim przystąpił do spółki.

— Nie mamy pieniędzy i nie chcemy mieć angielskich dolarów — mruknął Czarny Sęp.

— Rozumiem! — odpowiedział mechanik. — Ale macie skóry i dobre konie. Ja już potrafię zamienić to wszystko na pieniądze, odbudować tartak i

uczynić Czarnych Irokezów bogatymi. Zbudujemy dla waszej młodzieży szkoły, dla chorych szpitale, dla starców przytułki. Delawarowie dadzą teren dla budynków, Irokezowie las, a wszyscy razem robotników.

Basiewicz długo objaśniał i przekładał sprawę. Obaj wodzowie wazyli ją, naradzali się chrapliwemi głosami, marszcząc czoła i co chwila podając sobie nabite świeżą tabaką fajki.

Wreszcie Czarny Sęp wstał i rzekł:
— Ufamy tobie i przystępujemy do spółki!

Od tej rozmowy minęło trzy miesiące, a w osadzie Delawarów turkotała już lokomobila, jazgotały piły i gwizdały heblarki.

Tartak był uruchomiony.

Pan Basiewicz okazał się niezwykle energicznym i pomysłowym człowiekiem.

Odwiedziwszy dyrekcję, otrzymał od niej zadarmo wszystko, co pozostało po pożarze, dokupił dużo potrzeb-

nych części, metalu, smarów i prowjan-
tów, poczem przystąpił do budowy no-
wego gmachu fabrycznego.

Nie poszedł za przykładem dawnego
dyrektora i nie sprowadzał cegły z da-
legiego miasta, lecz, wybudowawszy
zwykły piec, nauczył Irokezów formo-
wać ją z gliny i wypalać. Odnalazł po-
kłady wapienne i sam fabrykował wa-
pno, a nawet cement.

Praca kipiała przez całą dobę. Pra-
cowano na zmiany.

Przełożono drogę od osady do lasów
Irokezów, którzy zwozili tu drzewo, a
po przerobieniu go na podkłady, deski
i inny materiał dostarczali do miasta,
na własny skład, gdzie pan Basiewicz
miał dwóch pomocników, emigrantów
z Polski, i trzeciego, zdolnego kupca
Czecha.

Delawarowie pracowali, jako zwy-
czajni robotnicy przy tartaku, a nad
nimi, jak i dawniej, przewodził Ram-
bas — Chyży Orzeł.

Nowe przedsiębiorstwo zasłynęło wkrótce ze swojej sumienności i ścisłości w wykonaniu zamówień, więc powodziło mu się znakomicie.

Zjeżdżało się tu coraz więcej Anglików i Amerykanów, dających różne obstalunki, więc pobudowano w osadzie hotel i restaurację, któremi wszechwładnie rządziła pani Wanda, mająca do pomocy oddaną jej Idimę.

Po trzech latach istnienia tego przedsiębiorstwa osada rozrosła się do rozmiarów wcale pokaźnego miasteczka. Zjawiły się sklepy, ładny budynek poczty i telegrafu, dwie szkoły, kościół katolicki i anglikański i brukowana ulica.

Pan Basiewicz ściągnął do „Indjanopolis“, jak nazwano powstające miasto, niemal wszystkich emigrantów z Polski i Czech, którzy pracowali w innych zakładanych przez kierowników przedsiębiorstwach.

Stanęły tu bowiem parowa cegielnia i cementownia, fabryka papieru, zakła-

dy, wyrabiające meble i huta szklana.

Irokezowie Czarni narazie nieufnie, z biegiem czasu już śmielej zbliżali się do mieszkańców szybko rosnącego miasta. Znikała nienawiść i podejrzliwość, bo znikł też wyzysk, gwałt i nieposzanowanie umów, zawartych z Indjanami.

Młodzież uczyła się w szkołach w Indjanopolisie i w Irokezianie, mniejszem miasteczku, powstałem na terenie dawnego, ubogiego obozowiska Czarne Sepa.

Jego syn Uangaron pełnił w niem obowiązki burmistrza.

Irokezowie zapomnieli już o latach klęsk, gdy trapił ich głód i choroby.

Ludność żyła teraz w dostatku, a dwa szpitale zwalczały wybuchające epidemie i dopomagały chorym ludziom szybko powracać do zdrowia.

W obydwóch miastach można było spotkać wszystkich dawnych znajomych za wyjątkiem kilku młodych Irokezów i Delawarów, którzy wraz ze

Stachem studjowali w zakładach naukowych Montrealu *).

Byli to najzdolniejsi młodzieńcy z obydwu miasteczek.

Jedni z nich uczęszczali do wyższej szkoły technicznej, drudzy zapisali się na medycynę lub weterynarję. Staś Basiewicz był studentem prawa na uniwersytecie.

Jego dawny przyjaciel i towarzysz zabaw dziecinnych Mab, syn Chyżego Orła, przygotowywał się już do matury i zamierzał pójść w ślady Stacha, wstępując na prawo.

Młodzież zjeżdżała na wakacje do domu i podziwiała niezwykle szybki rozwój nowych miast.

Wreszcie pewnego lata, przyjechawszy z Montrealu do Indianopolisu, Stach, wyściskawszy rodziców, oznajmił:

— Ukończyłem uniwersytet i wstąpiłem do adwokatury!

*) Główne miasto Kanady.

— Pozostaniesz zatem w Montrealu, synku? — ze smutkiem zapytała go pani Wanda.

Młodzieniec spojrzał na nią radośnym wzrokiem i odparł:

— Ależ nie, mamusiu! Zostanę z wami, bo wiem, jak bardzo tu wam i naszym przyjaciołom — Indianom jestem potrzebny!

Radości rodziców nie było granic.

Istotnie — założone przez Stanisława Basiewicza biuro adwokackie zostało odrazu zasypane sprawami. Wszyscy mieszkańcy woleli polecać mu swoje sprawy, niż jeździć do Winnipegu, Wankuweru lub nawet Montrealu, z którymi Indianopolis nawiązywało coraz poważniejsze stosunki handlowe.

Zdolny, wymowny i uczciwy młodzieniec zyskał sobie sympatje ludności. Sąd okręgowy w Winnipegu bardzo się liczył z ponad wiek poważnym adwokatem, więc sprawy, powierzone mu, miały zawsze pomyślne zakończenie.

Stanisław nie przewidywał jednak, że sądzone mu będzie, jako prawnikowi, odegrać inną, znacznie jeszcze donioślejszą rolę, która skierowała życie jego na inne tory.

~~— ci pa —~~

Rozdział 7.

NA ŚCIEŻCE WOJENNEJ.

Całe trzy lata już prowadził swoje biuro adwokat Stanisław Basiewicz w Indjanopolisie wraz z ojcem, zasiadając też wśród ławników tego miasta.

Pokój i ład panował w szybko rosnącym mieście.

Zakłócił go niespodziewanie pewien wypadek, który, być może, nie miałby tak groźnych następstw, gdyby nie zdarzył się na ziemi, należącej do wolnych Indjan.

Do fabrykanta porcelany Smitha przyjechał brataniec jego Hiram, zapalony myśliwy i tęgi pijak.

Był to człowiek, obdarzony fenomenalną siłą, brutalny i szorstki.

Pewnego razu, włócząc się z karabinem po kniei za Czerwonemi Skałami, spotkał Irokeza, który zwrócił się do niego z takimi słowy:

— Biały człowiek nie pójdzie dalej!

— A to dlaczego czerwony wieprzu?

— spytał urągliwie Anglik.

Indjanin zgrzytnął zębami na tak obraźliwe odezwanie się myśliwego, lecz, hamując gniew, odparł:

— Istnieje przepis, zabraniający łowów w tej części puszczy.

Hiram, niewiele myśląc, uderzeniem pięści obalił Irokeza i poszedł dalej.

Na każdym kroku spotykał tu zwierzynę, więc z łatwością upolował dwa jelenie i trzy sarny, poczem rozpalił ognisko i pozostał w puszczy na nocleg.

Tymczasem poturbowany przez niego Indjanin przybiegł do osady Czarnego Sępa i, stanąwszy przed obliczem wodza, opowiedział mu o zajściu i pogwałceniu prawa przez Hiram Smitha.

Czarny Sęp podług obyczaju zwołał wiec starców szczepu.

Po wysłuchaniu pobitego rodaka, wśród Irokezów zapadło głębokie i złowrogie milczenie. Starcy rozważali sprawę i namyślali się nad nią poważnie.

Zapewne, znaleźliby jakieś wyjście, gdyby raptownie nie przybył na wiec stary czarownik Maranba.

Z pianą na wargach, wymachując rękami, jał natychmiast buntować obecnych, krzycząc cienkim, wściekłym głosem:

— Zemsta i śmierć bladym twarzom, Irokezowie! Nie dajcie się namówić przez Czarnego Sępa i Uangarona, którzy są zaprzędani białym przybyszom, jak zasługujący na pogardę wódz Delawarów Chyży Orzeł! Przypomnijcie sobie, że serce naszej puszczy oddaliśmy cieniom zmarłych przodków, aby mogły tam w ciszy i spokoju uprawiać łowy! Tam wśród starych sosen i dębów błakają się widma Mocarnego

Niedźwiedzia, Celnego Oka, Twardej Ręki, Krzemienego Serca, naszych najślawniejszych wodzów! Błada twarz zbeszczyła to miejsce, błada twarz powinna zginąć! Śmierć białym najeźdźcom i gwałcicielom!

Czarny Sęp zrozumiał, że czarownik zamierza podnieść bunt przeciwko niemu i pchnąć Irokezów na niebezpieczną drogę samowolnej zemsty, musiał więc zgodzić się na pewne ustępstwa, aby nie stracić wpływu i posłuchu wśród swoich.

Uciszywszy zebranych na wiecu i podbudzonych przez Maranbę rodaków, zawołał:

— Postanawiam schwytać białego człowieka i ukarać go chłostą! Syn mój Uangaron niech go odnajdzie i przyprowadzi tu, na sąd starców!

Młody Irokez natychmiast skoczył na siodło i, zwoławszy kilku towarzyszy, ruszył wskok.

W godzinę później związanego Hirma Smitha wprowadzono do koła starców.

Anglik krzyknął groźnie:

— Pozbawiliście wolności obywatela Jej Królewskiej i Cesarskiej Mości królowej Wielkiej Brytanji! Zapłacicie za to ciężkimi karami, czerwone, dzikie poczwary!

Czarny Sęp wyciągnął rękę i rzekł poważnym głosem:

— Milcz i nie miotaj nowych obelg! Proponujemy ci za nieuszanowanie prawa, podpisanego w imieniu cesarzowej Wielkiej Brytanji zapłacić grzywnę — sto dolarów na szpital w Indjanopolisie.

— Nigdy! — wrzasnął Hiram, tupiąc nogą.

— Jeżeli nie zapłacisz, wyrokiem Sądu naszego będziesz ukarany chłostą! — zagroził mu wódz.

— Śmierć bladej twarzy! — ryknął czarownik.

— Nie ośmielicie się wykonać swego głupiego wyroku! — drwił brutalny Smith.

Pomylił się jednak, bo za chwilę leżał już na ziemi, a dwóch młodych Iro-

kezów sumiennie wygarbowało mu skórę.

— Dość! — zawołał wódz. — Zdjąć z niego pęta i odprowadzić do Czerwonych Skał, karabin zaś zatrzymać, oddamy go sędziemu.

Na tem, zdawało się, wszystko zostało wyczerpane.

Indianie ani słówkiem nie zdradzili wymierzonej Hiramowi kary, lecz mściwy Anglik sprawy tak nie pozostawił.

Wstydząc się skarżyć Irokezów przed sądem, gdzie mogła być się wydać hańbiąca i ośmieszająca go kara, obmyślił zemstę na własną rękę, mówiąwszy się z kilkoma przyjaciółmi, takimi, jak sam, birbantami i brutalami.

Urządzili oni zasadzkę na Uangarona, jadącego do sądu z odebrany Hiramowi karabinem. Napadniętego przez tłum napastników Irokeza obito i w walce postrzelono w rękę. Związawszy go, Hiram kazał zawiesić na drzewie.

Indianie znaleźli Uangarona i przywieźli go do obozu wodza.

Cały dzień następny Irokezowie spędzili na przygotowaniach: malowali sobie twarze, ostrzyli noże i tomahawki, czyścili strzelby, a wieczorem, starym obyczajem, rozpaliwszy ognisko, wykonali taniec wojenny. W parę dni potem czerwonoskórzy w liczbie pięćdziesięciu, jak huragan, spadli na fabrykę Smithów, wtargnęli do ich domu, poszukując Hirama. Wywiązała się strzelanina, podczas której kilku białych otrzymało rany, a trzech Indian poległo od kul rewolwerowych.

W sprawę wmieszał się sędzia angielski i zażądał przysłania do Indjanopolisu oddziału konnej policji.

Hiram nie czekał już dalszych zarządzeń władz.

Skrzyknawszy młodych ludzi, zawsze ochoczych do przygód i bójki, o świcie napadł na Irokezianę i podpalił ją z trzech stron.

W płomieniach zginęła połowa miasteczka, gdzie mieściły się dwie szkoły,

kościółek misjonarzy anglikańskich, budynek poczty i ambulatorjum.

W odpowiedzi na ten czyn wszyscy Irokezowie i Delawarowie, pracujący w fabrykach i pełniący obowiązki służby domowej, porzucili pracę i zamknęli się w domach.

Wszystkie fabryki, za wyjątkiem należących do Indjan tartaku, cegielni i cementowni, stanęły.

Oddział policji, przysłany z Winnipeg, a dowodzony przez młodego, nie-doświadczonego oficera, popełnił wielki błąd.

Żołnierze wdarli się do domów Indjan i siłą zmuszali do pracy w fabrykach prywatnych właścicieli. Próżno Stanisław Basiewicz tłumaczył sędziemu, że te zarządzenia spowodują bunt Indjan. Nikt z Anglików nie chciał go słuchać.

Oburzony adwokat opuścił więc gabinet sędziego, powiedziawszy:

— Zwróci się pan do mnie jeszcze, lecz będzie już za późno!

W ciągu jednej nocy wszyscy Indianie wraz z rodzinami opuścili miasto.

Idima wpadła do pani Wandy i szepnęła jej w tajemnicy.

— Bądźcie ostrożni! Irokezowie i Delawarowie weszli obecnie na ścieżkę wojenną!

Basiewiczowie wiedzieli już, że Indianie zamierzają wypowiedzieć wojnę ludziom białym.

Ze strachem i troską oczekiwali dalszych wypadków.

Sędzia i dowódca oddziału dowiedzieli się też o tem od kupców i wysłali telegram do Winnipeg z żądaniem posiłków.

Przez cały dzień nie było jednak żadnej odpowiedzi.

Zaczęto sprawdzać linję telegraficzną, a wtedy okazało się, że w różnych miejscach została uszkodzona.

Wysłano partję ochotników i techników dla naprawy telegrafu.

Nikt z tych ludzi nie powrócił.

W nocy sędzia został obudzony brzękiem stłuczonej szyby.

Podbiegłszy do okna, ujrzał leżący na podłodze kamień, owinięty w szmatę.

Znajdował się w niej arkusz papieru, zawierający formalne wypowiedzenie wojny.

Indjanie pisali:

*„Rada starców Delawarów i Irokezów
uchwaliła wojnę przeciwko bladym twa-
rzom, gwałcącym prawo. Śmierć bladym
twarzom! Oddział ochotników waszych do-
stał się do niewoli. Do miasta nikt się nie
przedostanie i nikt się z niego nie przekra-
dnie. Chcieliście wojny, będziecie ją mieli.
Przypomnimy bladym twarzom krwawe
dni Atabaski!*

Czarny Sęp. Chyży Orzeł“.

Sędzia postanowił jednak sprowadzić wojsko i w tym celu pchnął konnego gońca, przebranego za Indianina.

Koń powrócił przed wieczorem, przywożąc uwięzowanego mu do grzbietu gońca z przestrzeloną głową.

Oficer, dowodzący policją, postanowił zaatakować osadę Czarnego Sępa i ruszył, wziąwszy sobie do pomocy stu młodych kolonistów.

W obozie nikogo nie znaleziono.

Osada została opuszczona. Tam i sam błąkały się pozostawione psy i koty.

Ludność znikła bez śladu.

Oficer ruszył śladami zbiegów przez puszcę, lecz natrafił na zasadzkę, która okryła się natychmiast dymem strzelb i rozkwieciła błyskami ognia.

Koloniści, nie wytrzymawszy ognia Indian, pierzchli w nieładzie i popłochu, oficer, straciwszy ośmiu policjantów, zmuszony był do odwrotu.

Cofał się, ostrzeliwując, a, wyszedłszy na płaskowyż za Czerwonemi Skálami, ujrzał straszny obraz.

Cała równina usiana była trupami młodych ochotników.

Oficer zorzumiał, że dostał się do pułapki i, że lada chwila niewidzialni wrogowie wypadną z krzaków i zaatakują jego oddziałek.

Indianie jednak, którym udało się rozbić kolonistów, nie pokazywali się tego dnia.

Stary Smith, właściciel fabryki porcelany, znalazł na swem biurku list wodza Delawarów. Rambas groził spaleniem Indianopolisu i wymordowaniem wszystkich białych, jeżeli nie zechcą im wydać Hiramę i uczestników pierwszego napadu na miasteczko Czarnego Sępa i na Uangarona.

Chyży Orzeł oznajmiał, że każdy kolonista, który wystąpi zbrojnie przeciwko Indianom, zostanie natychmiast ukarany śmiercią.

Fabrykanci i kupcy zgromadzili się na naradę i postanowili spełnić żądanie Rambasa, lecz zjawienie się sędziego i gorące przemówienie oficera zmieniło ten nastrój.

Anglicy wystawili kilkudziesięciu ochotników, którzy patrolowali dokoła miasta. Nad ranem znaleziono jedenastu z nich, leżących w kałuży krwi.

Znowu zaczęli się naradzać biali przybysze i, nie mogąc dojść do żadnej

stanowczej decyzji, zaprosili Stanisława Basiewicza.

Młody adwokat stawiał się natychmiast i oznajmił głosem stanowczym:

— Wina ciąży na białych ludziach, panowie. Musicie więc przyjąć warunki Rambasa, bo innego wyjścia nie macie.

Usłyszawszy tę radę Stanisława, oficer skoczył ku niemu z pięściami i zawołał:

— Każę aresztować pana, jako zdrajcę i cudzoziemca, sprzyjającego buntownikom!

Adwokat z godnością i spokojem odparł:

— Za to słowo „zdrajca“, jako za oszczerstwo, pociągnę pana do odpowiedzialności, co zaś do nazwania mnie cudzoziemcem, pan porucznik grubo się myli. Jestem obywatelem Wielkiej Brytanji w jej dominjum kanadyjskiem!

Oficer zmieszał się, lecz usiłował nadrabiać miną i pogrózkami.

Tegoż dnia dowiedziano się, że sędzia zniknął nagle.

Daremnie szukano go wszędzie. Domysłano się, że został porwany przez Indian. Domysły te sprawdziły się najzupełniej.

Przed wieczorem na placu spostrzeżono konia, wbiegającego całym pędem.

Z siodła zwisała deska z napisem:

„Sędzia zostanie rozstrzelany, jeżeli dziś o północy na Czerwonych Skalach nie znajdziemy Hirama Smitha i jego towarzyszy.

Rada Irokezów Czarnych“.

Zgromadzenie mieszkańców Indianopolisu zażądało od Smithów wydania prawdziwych winowajców wojny.

— Ha, posyłacie nas na śmierć! — krzyknął Hiram i zaklął ohydnie.

Zgromadzenie milczało, rozumiejąc niebezpieczeństwo, grożące kilku białym obywatelom Indianopolisu. Nikt jednak nie wystąpił w ich obronie.

Hiram z towarzyszami wsiedli do łodzi i ruszyli ku Czerwonym Skałom.

Gdy czołna ich minęły granicę miasta, z brzegu rozległ się przeraźliwy świst, po którym z krzaków wyjechał konny Indjanin i uczynił ręką znak, aby łodzie przybiły do piaszczystej łąchy.

Zakładnicy spełnili rozkaz i wyszli na brzeg. Tłum Irokezów otoczył ich natychmiast i, związawszy ręce, wprowadził do lasu.

Hiram Smith poznał wśród Indjan Uangorona, noszącego rękę na opasce.

— Poderżnięcie nam gardła i zdejmiecie skalpy... — mruknął z pogardą i nienawiścią Anglik.

Młody wódz spojrzał na niego bacznie i przenikliwie, lecz nic nie odpowiedział.

Tymczasem oficer, przypuszczając, że Indjanie zgromadzeni są w obozie Czarnego Sępa, postanowił przedrzeć się przez osłabione posterunki czerwonoskórych wojowników.

Z bronią, gotową do strzału, posuwali się leśną drogą, biegnącą w stronę najbliższej stacji kolejowej. Przed oddziałkiem jechało kilku wywiadców, którzy szczęśliwie minęli linję zastaw, której wczoraj jeszcze nie mógłby przekroczyć żaden biały kolonista.

Na jednym z odcinków lasu patrol skrył się za załamaniem drogi.

Uspokojony oficer, paląc fajkę, jechał już pewny, że wymknie się buntownikom.

Nagle stało się coś nieprzewidzianego.

Z gęstych zarośli wikliny, przesadzając krzaki, wypadł na drogę łaciasty koń. Siedzący na nim Irokez z białymi piórami na głowie, postawiwszy ruma-ka bokiem, zatarasował wąską drogę i przemówił:

— Nie chcemy przelewu krwi. Żądamy jedynie sprawiedliwości i dotrzymywania umów, istniejących pomiędzy rządem Kanady, a nami. Wymagamy, aby biali wojownicy powrócili do Indjanopolisu...

— Jak śmiesz... — wrzasnął porucznik, chwytając za rewolwer, lecz urwał nagle i opuścił rękę.

Z krzaków wynurzył się oddział Irokezów i, trzymając strzelby przy ramieniu, w jednej chwili otoczył policjantów, patrząc na nich ponuro i groźnie.

— Powracam... — wyjąkał oficer.

Indjanie rozstąpili się natychmiast i przepuścili oddział, który skierował się ku miastu; za nim osobną grupką włókł się schwytany przez Indjan niefortunny patrol policyjny.

•

Rozdział 8.

PRZY OGNISKU STANISŁAWA.

W mieszkaniu Basiewiczów cała rodzina siedziała w saloniku. Troska i niepokój malowały się na twarzach pana Mieczysława i Stanisława, pani Wanda miała zapłakane oczy.

— Co uczyni Czarny Sęp ze swymi jeńcami? — spytał stary Basiewicz.

Młody wzruszył ramionami i odparł smutnym głosem:

— Czy ja wiem! Gdy Rambas odjeżdżał, doradzałem mu, jak mają postępować. Nie wiem jednak, czy nasz przyjaciel zdoła przekonać surowego i mściwego wodza Irokezów, szczególnie teraz, gdy mu postrzelono Uangaro-

na... Boję się nowych i jeszcze większych powikłań, które mogą drogo kosztować Indjan!

— Oj, tak, tak! — westchnął ojciec.
— Aż mi włosy dęba stają, gdy myślę, że w ich ręce dostał się nasz sędzia, a teraz Hiram Smith ze swymi kompanami.

Stanisław nic nie odpowiedział i zaczął chodzić po saloniku w głębokiej zadumie. Wreszcie powziął jakieś postanowienie, bo strzepnął palcami i mruknął:

— Pójdę konia osiodłać, ojciec...

— Jedziesz? — szepnął pan Mieczysław.

Stanisław spojrzał na ojca i bez słowa kiwnął głową.

Ojciec utkwiał w nim pytający wzrok, lecz widocznie zrozumiał wszystko, bo cichym głosem wyrzekł:

— Tak będzie najlepiej...

Stanisław nie słyszał już tych słów, bo wybiegł z pokoju, dążąc do stajni.

W półgodziny potem miał długą rozmowę z oficerem, dowodzącym oddziałem policji, i wraz z nim opuścił miasto.

Porucznik miał zafrasowany i niepokojny wyraz twarzy. Jechał bezbronny, trzymając się boku adwokata.

Obaj czuli, że są śledzeni na każdym kroku i, że dziesiątki oczu spoczywają na nich.

Jechali przez wytrzebioną puszcze ku Czerwonym Skałom.

Dotarwszy do płaskowyzą, Stanisław zeskoczył z konia i, puściwszy go na łąkę, jał układać duży stos z suchych gałęzi.

Gdy płomienie buchnęły, ogarniając smolne łuczywo, a dym w nieruchomem powietrzu, jak słup, wzbijał się ku górze, usiedli obaj przed ogniskiem, nieruchomi i milczący.

Z haszczy jeden po drugim wychodzili Irokezowie i Delawarowie.

Była to starszyzna, która siadała na ziemi i, utkwivszy oczy w ogień, milczała.

Wyczuwało się oczekiwanie i trwoga.

Po pewnym czasie zjawili się obaj wodzowie, prowadząc pod ręce stuletniego starca Arunguna, który był otoczony czcią przez wszystkich Indjan, a słowo jego ważyło bodaj więcej, niż najsurowszy rozkaz Czarnego Sępa.

Usadowiwszy starca na skórze wilczej, wódz Irokezów zakreślił w powietrzu szerokie koło i zawołał:

— Radźcie, wojownicy mego szczepu!

Pierwszy zaczął przemawiać czarownik. Mówił, jak zwykle z wściekłością w głosie, wymachując rękami:

— Wpierw chcemy wiedzieć, z czem przyszły tu blade twarze, które, widać, zapomniały, że jesteśmy na „ścieżce wojennej“?

Czarny Sęp spojrzał na Stanisława i mruknął:

— Mów, bo musimy wiedzieć wszystko...

Młody adwokat chciał jednak zbadać myśli i zamiary Indjan, aby prze-

mówić do nich najbardziej przekonująco.

Wstał i spokojnym głosem oznajmił:

— Słyszałem głos czcigodnego Maranby... Nazwał mnie „bladą twarzą“, chociaż w dzieciństwie niejedną noc spędziłem pod jego strzechą, a matka moja uzdrowiła Wiggita, córkę Maranby. Przed chwilą w głosie starego druha słyszałem gniew... Niech objaśni, dlaczego nazwał mnie, jak wroga swego, bladą twarzą?

Czarownik nagle się zmieszał i nie patrzył na Stanisława.

— Mów, Maranba! — rzucił w jego stronę Czarny Sęp.

Czarownik znacznie już łagodniejszym tonem jął mówić:

— Biały brat... wiem... jest przyjacielem Irokezów... lecz biały brat pozostał z bladymi twarzami w Indjanopolisie i nie wyszedł z nami na ścieżkę wojenną... Odezwała się w nim wilcza krew bladych twarzy... Nie możemy mu ufać... szczególnie teraz, gdy bę-

dziemy sądzili naszych jeńców podług naszego prawa — krew za krew!

Stanisław uśmiechnął się nieznacznie i, gdy Maranba usiadł zakłopotany, zaczął mówić:

— Nie jestem ani Irokezem, ani Delawarem, więc nie mogę wychodzić na „ścieżkę wojny“; chcę was zawrócić z tej drogi, krwawej i niebezpiecznej. Przybyłem tu, aby przypomnieć wam o tem, coście zapomnieli, wojownicy! Maranba nie ma słuszności, nawołując was, abyście sądzili jeńców i to jeszcze podług starego prawa Indian! Ojcowie wasi wywalczyli dla swoich szczepów wolność, lecz przysięgli na Wielkiego Ducha, że Indianie będą uznawali prawo białych ludzi. Niech potwierdzi to sędziwy Arunguna!

Starzec kiwnął siwą głową i rzekł dobitnie:

— Tak właśnie brzmiała umowa z białymi, gdy wodzowie nasi zwyciężyli nad Atabaską!

Stanisław już donioślejszym głosem ciągnął dalej:

— Jestem gotów bronić was przed władzami tego kraju, lecz mogę czynić to tylko w tym wypadku, jeżeli nie złamiecie prawa! Dotychczas zbrodniarzami są Smithowie, jego banda i policja...

Mowę adwokata przerwał zgodny okrzyk Indian:

— Śmierć Hiramowi! Śmierć bladym twarzom!

— Wojownicy! — krzyknął Stanisław. — Opamiętajcie się. Sąd i wyrok nad zbrodniarzami nie do was należy. Winnych pokara sąd angielski, a ja postaram się, żeby był sprawiedliwy. Jeżeli zaś jeńcom choć włos spadnie z głowy, biada wam! Straciecie wolność na zawsze, a wielu z was zmarnieje po więzieniach! Przywiodłem tu dowódcę policji, aby słyszał naszą naradę i zrozumiał swój błąd.

Młody adwokat szczegółowo wyjaśnił umowę angielsko - indyjską i artykuły prawa, jej broniące, poczem zaproponował następującą rezolucję:

— Obaj wodzowie odstawią do Montrealu jeńców i porucznika policji, któ-

ry dobrowolnie się poddaje, i zażąda-
ją od gubernatora sądu, na którym sta-
nę w waszem imieniu i sprawy waszej
bronić będę, ponieważ prawo jest po
waszej stronie.

Zapanowało długie milczenie, a wszy-
stkie spojrzenia skierowane były na
Arungunę. Wreszcie starzec rzekł:

— Tak ma być!

Na to odezwał się Czarny Sęp:

— Biały przyjaciel mówił mądrze i
sprawiedliwie!

Chyży Orzeł potwierdził:

— Należy uczynić tak, jak radził
nam!

Stanisław Basiewicz powrócił w no-
cy do miasta, przywożąc uspokajające
wieści o losie sędziego i kolonistów, po-
czem doręczył wachmistrzowi konnych
policjantów list od ich dowódcy.

Stary policjant złapał się za głowę i
wrzasnął:

— Porucznik poddał się czerwono-
skórym buntownikom! Pisze, że postę-
powaliśmy wbrew prawu! Nic o takim
prawie nie słyszałem...

Stanisław uśmiechnął się, patrząc na zrozpaczonego wachmistrza, i mówił pojednawczym głosem:

— Nikt nie może usprawiedliwiać się nieznajomością prawa. To, o czym pi-sze wam poręcznik, umieszczone zostało w trzeciej części konstytucji kanadyjskiej, w artykułach o rezerwach indyjskich. Przeczytajcie to sobie w wolnych chwilach, wachmistrzu!

Policjant zgrzytnął zębami i zaklął:

— Do jasnych piorunów!...

Rozdział 9.

DOKĄD PROWADZI „ŚCIEŻKA WOJENNA“.

W Montrealu odbył się sąd w sprawie zejść w Indianopolisie.

Zwycięstwo młodego adwokata omawiane było przez wszystkie dzienniki.

Prokurator, niedawno przybyły z Londynu, nalegał na ukaranie Indian za zbrojny napad na fabrykę Smithów, chcąc choć częściowo usprawiedliwić pogwałcenie umowy przez tobywateli angielskich.

Stanisław Basiewicz odparł oskarżenie, przytaczając artykuł siódmy tego dokumentu.

— „W wypadku niemożliwości uzyskania pomocy władz dla obrony swo-

ich praw i przywilejów, Indianie mogą bronić ich wszelkimi dostępnymi im sposobami“ — brzmiał artykuł.

Odczytawszy tę część umowy, podpisanej w Atabasie i zatwierdzonej przez parlament, adwokat zakończył swe przemówienie słowami:

— Nie mogąc uzyskać pomocy od sędziego i policji, klienci moi, wodzowie Delawarów i Irokezów, wyszli na „ścieżkę wojenną“, poskromili gwałci-cieli prawa i przywieźli ich przed sąd Wielkiej Brytanji, ufając, że potrafi ona obronić swych czerwonoskórych obywateli!

Wyroki wypadły surowo.

Hiram z towarzyszami został skazany na więzienie, sędzia i porucznik musieli podać się do dymisji, Smithowie zapłacili karę pieniężną za spalenie Irokeziany.

W dwa lata później w Kanadzie odbywały się wybory do parlamentu.

W Indianopolisie zebrała się starszyzna wszystkich szczepów indyjskich, aby obrać trzech posłów.

Czerwonoskórzy przyjechali z gotowem postanowieniem i natychmiast po otwarciu narad obrali na swych przedstawicieli — młodego prawnika Maba, syna Chyżego Orła, oraz Warunę, wnuka Arunguny.

— Kto ma być trzecim posłem naszym? — spytał przewodniczący Uan-garon, a wtedy powstał Czarny Sęp i głosem wzruszonym oznajmił:

— Wszyscy wiemy, jakiego mamy przyjaciela w synu białego człowieka z dalekiego kraju. Ojciec wyprowadził nas na drogę dostatku i wiedzy, syn na drogę prawa. Trzeci mandat poselski oddajemy Stanisławowi Basiewiczowi!

Tak to mały Staś-emigrant z pod Płocka stał się przyjacielem i obrońcą Indian kanadyjskich, słynnym adwokatem, posłem do parlamentu, a w kilka lat potem wice-ministrem sprawiedliwości.

Indjanie nadali mu przydomek „Serce Prawdy“.

Z tego imienia Stanisław Basiewicz dumny był przez całe życie.

K O N I E C.

Warszawa, 28 listopada, 1932 roku.

